Lwów 12. Lipca. Nr 82. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i zadopłate 10 kr. stepl. zakaźdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

IX.

DWIE DROGI.

(Ciąg dalszy.)

Taką to drogą poszedł Kazimierz, i znalazł na niej wiele ukrytych róż, znalazł ukojenie po doznanem nieszczęściu i zadowolenie na dalszy swój żywot. Zawrót jednak taki do przyrodzonego celu człowieka, zawrót z drogi zbytku i dostatków na skromną ścieszkę pielgrzymki ziemskiej, nie jest tak łatwy, jak to sądzić można z pozoru. Potrzeba wielkiego hartu duszy, niezłamanej odwagi, potrzeba panowania nad sobą, nad przesądem, i pokusą podszeptów szatańskich, a nadewszystko potrzeba serdecznej uczynnej pomocy. To też mało jest takich nawracających się, a rozbitki głośnych imion wolą raczej być ciężarem majętniejszych krewnych i niekrewnych, wyciągając rękę po jałmużnę, aby pracą osobistą nie plamić tradycyi rodowych; wolą wreszcie tragicznie jak ów *„król zamczyska"* zakończyć w łachmanach nędzne swoje pasożytne życie, niżeli pracą odpowiednią stać się użytecznym członkiem swego społeczeństwa.....

Rok prawie upłynął od owej fatalnej dla Kazimierza katastrofy, a patrząc dzisiaj na niego, zajętego pracą i życiem czynnem, widzimy, że nietylko nie strawiła go ta praca, ale owszem na jego czole zarysowała jakiś wdzięk nieodgadniony, właściwy ludziom wyższego stanowiska. Nawet cała jego postać przybrała pewnej decyzyi i dumy szlachetnej, i widać było po każdym jego ruchu, że zostawiony własnym siłom, czuje je w sobie i jest pewny, że go nie opuszczą w potrzebie. Taka to bowiem, że się tak wyrażę, niezawisłość moralna, jest to może najwyższem zadaniem i szczęściem człowieka w społeczeństwie....

Kazimierz przestał pisać, a wielka książka Roberta także się jakoś zamknęła. W takim to razie mieli dwaj przyjaciele zwyczaj z sobą rozmawiać, wzajemnie sobie swoich spostrzeżeń udzielać, albo jakim wesołym dowcipem kilka chwil życia rozjaśnić. Kazimierz zdał był już do tego czasu egzamina prawnicze, które niegdyś zaniedbał, a sposobiąc się do swego zawodu, pisywał w urzędzie. Z tąd to przynosił on swemu towarzyszowi nie jeden charakterystyczny rys ludzkości, nie jeden dowcip samorodny, nie jedno zdarzenie smutne lub pocieszne. Uczony zaś Robert widział w takiem opowiadaniu społeczeństwo swoje, czerpiąc z niego swoje wnioski i wyobrażenia. Dla niego odosobnionego od świata i ludzi była to jedyna szkoła, w której słuchał wykładów o człowieku i towarzystwie. A chociaż wykłady takie nie miały tego skutku, jaki ma studyum żywego społeczeństwa, więcej jednak mógł nasz uczony z nich świat poznać, niżeli z książek swoich.

To też więc było owym tajemniczym węzłem, łączącym ich obu ze sobą. Obaj bowiem siebie wzajem uzupełniali.

Zamknąwszy książkę oparł się Robert o poręcz krzesła i zamyślił się głęboko. Był on dzisiaj jakoś roztrojony, a karty książki przewracał zdaje się bez myśli. Oczekiwał tylko, rychło jego przyjaciel pisać przestanie, aby z nim zacząć rozmowę.

Rok minął gdyśmy go nie widzieli. Twarz jego przybladła nieco, ale zato odbiło się w niej jakieś piękne szlachetne uczucie. Nad ładnie zakrojonemi ustami zawisł gęsty, czarny porost, i rzucił tajemniczy cień na niżej wijący się rys cichej głębokiej melancholii. W oku było widać więcej cierpienia, więcej boleści, ale boleść ta wyklarowała się do przeźroczy nieba, i straciła swój cierń ziemski. Zdawało się nawet, że w tej boleści rozkoszował, bo ona zmywała w jego duszy męty egoizmu ludzkiego....

Rok minął, gdy rozpoczął życie nowe, życie pełne wzruszeń, rozkoszy i boleści, nadziei i obawy, życie pełne trwogi, pełne walk i zwycięztwa, pełne strat i marzeń, złudy i rozczarowania — słowem życie kochanka. Rok ten nie zmienił nic w jego miłości dziwacznej, bo raz wymarzone obrazki chronił zawistnie od wpływu rzeczywistości, i uciekł z niemi w tak idealną krainę, że go nikt dojrzeć, a tem samem i rozczarować nie mógł. Unikał starannie spotkania się z rzeczywistością, dla tego też nikt nie wiedział o jego marzeniach, o jego snach miłosnych, aby go mógł przebudzić. Nawet dla Kazimierza były te sny tajemnicą, a Robert ukrywał je z niemniejszą zawiścią, jak swoje uczone rozprawy, i długie, starannie odpisane poemata.

Zdaje nam się czasem we śnie, że idąc drogą staniemy nagle na krawędzi przepaści. W największej trwodze czujemy, że nas siły opuszczają, że tracąc równowagę, nie

mamy nawet głosu, aby o ratunek zawołać. Szamotamy się na próżno, ani śmierci ani ratunku!.. Tak samo stało się z biednym poetą. Zapędził się na brzeg przepaści i zawisł tamże. Do skoku nie miał sił, odwrócić się nie mógł. Stał więc w jednem i tem samem miejscu, na jakiem stanął z początku. Wprawdzie widział za przepaścią wymarzoną kochankę, słyszał jej głos miły i dzwięczny, widział jej uśmiech rozkoszny, który z wolna przydłużał się w uśmiech boleści i cierpienia — ale kochanka ta nie podała mu ręki przez ową przepaść, nie zachęciła go żadnem słówkiem do szalonego skoku...

Czasem zdawało mu się, że Julia bawi się nim, jak się bawi młode dziewczę lalką swoją, strojąc ją w szmatki różnobarwne; czasami myślał, że jest w jej ręku książką niezgrabnego formatu, nudną wprawdzie ale pożyteczną, z jakiej korzystać pragnie kapryśna dziewczyna; a czasem znowu zdawało mu się, że w ręku kochającej dziewicy jest almanakiem pysznego wydania, spoczywającym na jej gotowalni obok innych, niezliczonych fraszek.

Takie myśli nachodziły go gdy Julii nie widział. Jedno spojrzenie, jedno przyjacielskie uściśnienie ręki, otwarte, serdeczne przywitanie rozprószyło wszystkie te mary naszego teoretyka, a z formatu książki podręcznej wyrósł w całej swojej postaci najszczęśliwszy kochanek.

Z takich to chwil żadną liczbą nie objętych składał się rok cały, a „nieznajomy uczony" w niczem niepostąpił. Zawód literacki szedł mu jak z kamienia. Żaden księgarz nie chciał jego manuskryptów drukować, a świat go nie znał lub zapoznał, a owa wymuszona niegdyś sława wielkiego człowieka, który na horyzoncie społeczeństwa miał zabłysnąć jasnym meteorem — była jeszcze dzisiaj zbyt daleka!

Dzisiaj jednak mniej go zajmowały podobne przyszłości jego medytacye, a jeżli był smutny i kwaśny, to dlatego, że dzisiaj dowiedział się z ust samej Julii, że matka wraz z córką stolicę na całe lato opuszczają, aby pojechać do wód mineralnych. Mogły to wprawdzie być wody galicyjskie, a nawet mógł mieć sposobność widzenia się z niemi; ale Robert nie patrzał dzisiaj tak daleko: nie rachował i nie kombinował, tylko bolał, że się jutro z Julją pożegnać musi.

Gdy właśnie przyjaciele po długiej chwili milczenia coś do siebie przemówić chcieli, otworzyły się drzwi, i wszedł listonosz z listem do Kazimierza.

Smutnem wiedziony przeczuciem rozerwał Kazimierz pieczęć, przebiegł szybko wiersze listu, a nim listonosz drzwi za sobą zamknął, zakrył sobie oczy i począł płakać.

Z odczytanego listu dowiedział się, że ojciec jego na śmiertelnej pościeli.

Sama ta myśl pozbawiła go zmysłów; płakał jak małe dziecię, a towarzysz jego uznał za rzecz stosowną, dziecinnych łez jego bynajmniej nie tamować. Utkwił tylko bolesny wzrok w płaczącego, a ten był tak wymowny i szczery, jak najokazalsza kondolencja.

Kazimierz oddał się cały uczuciu gwałtownej żałości, bo w wspomnieniu jego żył tylko ojciec; nie marnotrawca, ale dobrodziej jego. To też bez względu na to, jaki wpływ taki wypadek może na jego własny los wywrzeć, chciał tylko sercu swemu zadość uczynić, chciał po raz ostatni ucałować tę rękę, która w jego dzieciństwie była dlań ręką drugiej opatrzności.

Inaczej ten wypadek pojmował Robert. I jemu zakręciła się łza w oku, ale nawykły odrywać się od rzeczywistości, otarł ją, i począł z tego wypadku dalszych szukać skutków. Wpływały one rzeczywiście bardzo niekorzystnie na Kazimierza, albowiem akt śmierci rozdzierał całą nieochybnej ruiny przesłonę. Tych jednak myśli nie udzielił Kazimierzowi, a gdy pierwszy ból przeminął, Robert znalazł nie jedno słowo pociechy, którem przyjaciela swego ukoić usiłował. Wreszcie przystąpiono do ułożenia w takim razie potrzebnych kroków, a jednym z pierwszych było, aby zaraz dnia jutrzejszego w podróż się wybrać.

Zmęczony tak gwałtownem uczuciem Kazimierz udał się na spoczynek, a Robert zasiadł do stolika, aby kilka listów napisać.

Po długiej chwili, przekonawszy się, że Kazimierz już usnął, wstał od stolika, przeszedł się kilka razy z cicha po pokoju i stanął przed łóżkiem śpiącego.

Śpiący miał łzy na licach swoich, i zdawało się, że przez sen płakał. Po chwili rozjaśniła się twarz jego, a usta ułożyły się do pocałunku. Kilka słów urywanych odleciało z ust, a z nich poznał Robert, że śpiący rozmawia z ojcem.

— Synu dostatków i szczęścia, rzekł do siebie poeta, niegdyś byłeś dla mnie istotą wyższą, byłeś ideałem moich marzeń dziecinnych, gdym cię po raz pierwszy ujrzał przez szparę płotu, odgradzającego chatkę od pałacu... a dzisiaj mam tylko litość dla ciebie... Dzisiaj jesteś nieudolny uczynić zadość najgwałtowniejszym uczuciom twego serca... a gdy twój ojciec umiera, niemasz sposobu zbliżyć się do śmiertelnej jego pościeli i ręką dziecinną oczy mu zamknąć...

Odwrócił twarz od łóżka, a gniew szlachetny i jakaś nieokreślona pogarda zapaliła w jego oku ogień ponury. Lecz pogarda ta nie tyczyła się nikogo z osobna, ale tyczyła się zasady.

Po chwili przystąpił do małej, drewnianej skrzynki, otworzył ją, i wyjął w szmaty zawinięty pakiecik. Zaśmiało się oko biednego jurysty na widok swego skarbu. Przeliczył z uwagą, pomyślał trochę, przeliczył jeszcze raz, a związawszy na powrót w szmatkę, położył pakiecik pod poduszkę.

Jakaś wesołość osiadła na jego twarzy, jakby po ja-

kim pięknym, szlachetnym uczynku. — Przedsięwzięcie dobre napawa już rozkoszą uczynku.

Nazajutrz okazało się jednak, że ułożoną podróż potrzeba było do kilku dni odłożyć. Słabość Kazimierza była tego przyczyną. Tymczasem nadeszły od chorego wiadomości zaspokajające; w chorobie bowiem nastąpiło polepszenie. Dopiero za tydzień mogli obaj przyjaciele stolicę opuścić. Robert miał podwójny obowiązek towarzyszenia Kazimierzowi, raz że jego opiekun umierał, powtóre, że swego ucznia samemu sobie zostawić nie chciał. I tak byłaby mu stolica nieznośną bez Julji i bez Kazimierza.

A nie bez pociechy opuszczał on stolicę!

Żegnając się z Julją, zdawało mu się, że głos jej był więcej czułym jak zwykle. Jakieś rzewne uczucie brzmiało mu dzisiaj w tym głosie. Mimowolnie musiał rozetrzeć w oku łzę, aby jej Julia nie ujrzała. Ale Julia przeczuła ją, a czarne jej oko zaskliło się wilgotną powłoką.

— Pan jedziesz w rodzinne swe strony, rzekła do niego, a wyraz oczu, zdawało się poecie, dokończył słowa.

— Niemam rodziny, odpowiedział poeta, jestem na świecie sam jeden!

— Jakaż to poetyczna sytuacja! Ileż to treści do poezyi!

Zamyśliła się marząca dziewczyna; na szczęście, biedny poeta nie słyszał jej słów ostatnich.

— Jest wprawdzie miejsce, gdziem się urodził, odrzekł ponuro poeta, ale miejsce to odebrano mi wychowaniem i nauką, a gdy go nikt po mnie nie zajął, porosło chwastem i pokrzywą, i stało się siedliskiem gadów.

Julia zajrzała głęboko w duszę natchnionego improwizatora, i przestraszyła się, bo na dnie tej duszy pięknej ujrzała... siebie. Wzruszona, z litośną i serdeczną przyjaźnią w oku, podała poecie rękę, a gdy ją ten do ust przyłożył, poczuł że była drząca.

— Nie panie Robercie, przymowiła prędko, nie chciałam w sercu pana budzić uczucia tak smutnego, daruj mnie pan moją lekkomyślność, daruj mnie pan wszystko, czem tylko zawinić mogłam... w czem panu jaką boleść sprawiłam....

— Jest dla wybranych pewna boleść, która ich dusze oczyszcza z egoizmu ludzkiego, a która w końcu odziewa je w szaty białe, dając im do ręki palmę zbawienia!...

— Palmę męczeństwa, poeto, męczeństwa!...

Ale poeta już nie miał więcej słów dla niej. Łzy cisnęły mu się do oczu. Skłonił się i wyszedł.

Julia stała chwilę zadumana.

— On mnie tak kocha! rzekła do siebie, jak mnie nikt kochać nie będzie!...

X.

RODZEŃSTWO.

W miasteczku podgórza karpackiego panował ruch niezwykły. Wszyscy mieszczanie powychodzili z domów na rynek, pozbierali się w kupki i szeptali sobie do ucha jakieś cudowne wieści. Z niecierpliwością kołysały się na ich głowach duże, baranie czapki, słychać było krząkania i przytakiwania, ale trudno było usłyszeć, co właściwie zaburzyło spokój lojalnego miasteczka.

Koło wieczora zaczęły się dopiero niepewne wieści klarować, zaczęto w zrozumiałych przemawiać słowach, a z czego jak najjaśniej to się ukazało, że dzisiejszego dnia *anno*... przybył do miasteczka jakiś powóz sześciokonny, z dużemi kuframi, a siedzące w tym powozie państwo zajęło od razu wszystkie *„pod złotą trąbką"* znajdujące się pokoje gościnne.

Było to od czasu, jak najstarsi mieszkańce zapamiętali, pierwsze takie wydarzenie, bo rzucone w kotlinę gór karpackich miasteczko nie miało żadnych osobliwości, któreby godne były tak niewygodnej podróży. To też wydarzenie takie nie małe w cichem mieście sprawiło zamieszanie. Powoli okazywały się w oknach głowy mieszczek zawiązane w czerwone chustki, po chwili widziano całą ich postać od stóp do głowy we drzwiach domków, aż wreszcie poczęły i one formować małe radne wydziały, które sobie wzajem podawały do ucha wieści najdziwaczniejsze.

W końcu uradzono pewnych zasięgnąć wiadomości, aby rozkołysane publiczne umysły zaspokoić biuletynem autentycznym.

Na nieszczęście, oberżysta „pod złotą trąbką" byłto człowiek nieużyty, a co większa, miewał czasami tak szkodliwe napady choroby umysłowej, że przychodzących swobodnie do niego mieszczan obdarzał najwyraźniejszemi guzami. Otóż nie jeden z mieszczan poskrobał się w głowę, gdy taka uchwała szanownego senatu zapadła, a wybrany do deputacji uczuł już mrowie w kościach na samo wspomnienie owej fatalnej „złotej trąbki".

Tą razą kuśnierz Tomasz i sąsiad jego Białkiewicz, kowal, wzięli na siebie ten zaszczyt, o tym „wielkim nieznajomym" dostać języka. Wyćwiczony w kombinacjach rozum kuśnierza postępował zwolna, z wyrachowaniem, gdy prostoduszny i uczciwy kowal idąc do celu drogą najprostszą, oberwał szturkańca i kilka słów hańby publicznej. Tomasz zaś wstąpił do sieni na pozór wcale nie ciekawy, wziął z kuchni węgiel do fajki, rozdmuchał, zapalił, a pieszcząc się ze swoim sinym dymkiem, kroczył wzdłuż podwórza nie obróciwszy głowy. Na końcu podwórza ujrzał idącego furmana, chłopa cztery arszyny wysokiego, w ubiorze dziwacznym, wcale mu dotąd nieznajomym. Kum Tomasz był katolik, a więc każde większe dzieło (wyjąwszy

futra) poczynał z Bogiem. A miał do tego słuszny powód, bo sążnisty woźnica wyglądał coś na farmazona, albo na gorszego jeszcze heretyka.

A więc pochwaliwszy Boga i ludzi rozpoczął kuśnierz szeroką przedmowę o drodze i pogodzie, oglądając się na wszystkie strony. Na jego nieszczęście mówił woźnica jakimsiś ledwo co zrozumiałym językiem, a nawet używał słów, jakich kuśnierz od lat czterdziestu nie słyszał. To utrudniało konwersacją, a niecierpliwi mieszczanie szukali innego źródła, aby się coś o wielkim nieznajomym dowiedzieć.

I w krótce też rozszedł się po mieście szmer dziwaczny. Powodem do tego była biedna miasteczka niewiasta, zwana powszechnie „głupią Marysią". Niegdyś miała ona może i rozum i urodę, a że więcej miała drugiego niż pierwszego, to też stało się jakoś, że ten rozum odszedł od niej, a gdy ją i uroda zdradnie opuściła, nazwano ją jednogłośnie „głupią Marysią". Różne rzeczy mówiono o niej. Niektórzy utrzymywali, że była z Napoleonem pod Moskwą, bo nawet po francusku coś umiała, inni inaczej sądzili, a byli nawet tacy, co ją śród burzy widzieli tańczącą na miotle i ożogu. Znała ona doskonale wszystkie zioła i korzonki, i umiała leczyć i zażegnywać wybornie.

Otóż ta „głupia Marysia" zwróciła dzisiaj na siebie uwagę powszechności, a urząd publiczny, miejski, zasłyszawszy o jej mowach dziwacznych, rozkazał ją niezwłocznie przed swój trybunał przedstawić.

Kobieta przyszła z wesołem obliczem, jakby miała sumienie najspokojniejsze.

— Pytacie się, łaskawy panie, rzekła do najstarszego z mieszczan, *czej owok* nieznam tego państwa, co tak hucznо i dworno do Szpigla zajechali? A *wej* skądbym wiedziała?... czy ja wiem kiedy paproć kwitnie?

— A przecież, rzekł jeden z mieszczan, słyszano, żeś gadała tam, że do ciebie ma jakiś wielki pan przyjechać, od złota i srebra!

— A jużciż mówiłam! bo i dla czegóżby nie mógł przyjechać!

— Powiedz prawdę i kwita co wiesz, głupia, wołano chórem.

— Żem głupia, tom sobie głupia, i nikomu prócz Bogu, nic do tego. A co wiem to i powiem, kiedy prześwietny rząd miasta to chce wiedzieć.

«Oto jest temu pół roku przeszło, kiedym na dwa dni przed trzema królami do Abramka poszła po pradło. Gdym ztamtąd wychodziła, a Abramkowa dała mi jeszcze na drogę kawałek kołacza, i tak ten kołacz jadła, przyszła do mnie jakaś pani w czarnym, jedwabnym płaszczu — czy młoda czy stara już tego widzieć taj niemogłam, bo był wieczór, gdy szłam od Abramkowej.

Gdy mnie obaczyła, oglądnęła się, czy kto nie idzie, a potem tak do mnie mówiła: „Moja ty kobieto dobra, jeźli chcesz co sobie zarobić, to chodź ze mną, tylko pamiętaj nigdy tego nie gadać co będziesz widziała.» Zaprowadziła mnie do tylniej izdebki nieboszczyka Abramka, a tam widziałam panią leżącą na łóżku. Ach była to młoda, piękna pani, i snadź musiała być bardzo bogatą, może księżniczka jaka, bo w koło niej był sam atłas i jedwab. Otóż przyszedłszy tam, rzekła do mnie blada piękna pani: Kobieto chcę ci powierzyć dziecię do wychowania. Jestem w podróży, a doktor nie pozwala mi go wziąć z sobą, boby umarło. Zostawię go więc tutaj u ciebie, a gdy powrócę, to mi go oddasz, a mój mąż hojnie ci za to wynagrodzi. Tymczasem daję ci trochę pieniędzy, ale mówię ci, gdy wrócę, a córka moja będzie zdrowa, to ci złotem ją odważę. Ale nie mów tego nikomu, bo to musi być tajemnicą, póki ja nie wrócę. Zawiesisz temu dziecku ten ot krzyżyk na szyi; i będziesz mu zawsze mówić, że to pamiątka od jego matki. A ja wzięłam dziecię do siebie, najęłam mamkę, karmiłam, czesałam, że urosło aż miło! A że pieniądze już mnie wyszły, toż czekam z dnia na dzień tej wielkiej pani i tego pana, a serce moje mnie mówi, że to oni przyjechali dzisiaj.»

(C. d. n.)

NAJLEPSZE I NAJGORSZE.

Piękną, błoń nasza w wiosennym stroju, —
W różowy promień słońca utkana,
I srebrną falą cichego zdroju
Jakoby wstęgą wpół przepasana!
Pięknem, błękitne niebios przestworze,
Jasne przezrocze bez chmurnej skazy,
Ni to mistrzowskie tło na obrazy,
Które wśród cichej, pogodnej nocy
Gwiazdami kreśli natchnienie boże!
Piękny... och! cały świat do okoła!
Lecz najpiękniejszym z ziemskich piękności,
Jest wzór kobiety z licem anioła,
I sercem, w którem złe niezagości.

Złą dla żeglarza zburzona fala,
Gdy się z swą łódką kwapi do brzegu;
Złe dla pielgrzyma, co przybył z dala,
W nieznanej stronie, zamiecie śniegu,
Zły jad, co wonią wabnego kwiatu
Krew nam zatruwa, gorszym od jadu,
Całus Judasza co niesiem bratu,
I na rozwity kwiat chmura gradu,
Na serce młode ponęty grzechu,
W rozkosznych dziewcząt ładnym uśmiechu:
I na myśl zdrową, na rozum młody,
Zdradne Sofizma, zwodne dowody.

Zły... i któż z ludzi zliczyć jest w stanie
Złe, co czart rozsiał po całym świecie?..
Lecz za najgorsze z złego obstanie
Szatańska dusza w ładnej kobiecie.

B. B...

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

Pan Felix wymazał z marzeń swoich jedną nulę. Prawdziwy przyjaciel za 50 złr. Pan Felix przekonuje się o prawdzie matematycznej: że 50.000 jest więcej jak 30.000. Zawołany gospodarz z Podola pierwszy raz w życiu rumieni się. Dla czego ojciec Julii miał wielki rozum konsylarski. Cudowne skutki wody kolońskiej. Pan Felix telegrafuje i chłodzi się.

Mówiliśmy już że pan Felix zjechał na zimowe leże do Wyżniowej. Zima była nader mroźna, czemu zapewnie przypisać należy, że nasz bohater mocno ostygł w swych zapałach miłośno-matrymonialnych, i zaczął propagować przed rodzicami i innymi znajomemi zamiłowanie w starem kawalerstwie. Zdaje się, że niemało przyłożyły się do tego inne boczne okoliczności, do których porachować można upodobanie w prożniaczem życiu kawalerskiem, pełnem owych nieżenujących przyjemności, łatwych miłostek, zjazdów myśliwskich, a głównie zielonego stolika, tej rozkoszy nad rozkosze wszystkich wiejskich kawalerów. Dodać należy, że wedle przysłowia polskiego, które szczęście miłośne i szczęście kartowe w przeciwnym do siebie stawia stosunku, pan Felix wygrywał przez całą zimę. Preferans i djabełek były dlań nie złemi intratami. A jak to lubo zdobywszy kilkanaście papierków bankowych nie tłumaczyć się z nich przed nikim, i obracać je na różne zachcenia kawalerskie, hulać po jarmarkach, a choćby bez jarmarku w miasteczku, gdzie się z pełną kieszenią odgrywa pierwszą rolę pomiędzy kolegami i czapkujacemi starozakonnemi.

Już pułkownikowa słysząc zdanie synowskie zaczęła truchleć, bo kawalerstwo synowskie łączyło się w jej głowie z ciemną, daleko smutniejszą myślą, która jej przedstawiala figurę i głos komornika zjeżdzającego na licytacyę w brzydkiem towarzystwie woźnego, wywołującego chrapliwym głosem to najbrzydsze mowy polskiej: „kto da więcej“! — Rozstać się zaś z Wyżniową niechciała na żaden sposób; «lepiej umrzeć niż się poddać,“ mówiła pułkownikowa parodjując słowa starej gwardyi Napoleonskiej pod Waterloo wyrzeczone. Pułkownik tylko patrzał na to wszystko zimną krwią, popijał węgrzyna, którego taniość poprawiał ilością, i powtarzał bez końca swoje filozoficzne: jakoś to będzie.

I miał słuszność! Przyszła wiosna, a z nią zmieniły się uczucia i zdania pana Felixa. Wiosna ta najpiękniejsza pora roku nie darmo jest *najweselszą* porą roku, bo budzi chętkę do wesel. I naszego bohatera rozruszała ta pełna pączków i nadziei, woni i rozkoszy pora roku. Pienie słowików, ptaszków zalecanki, wesołe trzód ryki, cały oddech przyrody, nowem życiem obdarzający, wszystko to razem rozbudziło w umyśle pana Felixa nowe chęci, nowe zamiary. Tak przynajmniej sądziła pułkownikowa, która mimo swego wieku miała pretensyą do romantyczności, czerpanej z tego niewyczerpanego, a Polkom tak ulubionego żródliska: romansów francuskich.

Lecz ja, com się zawziął krok w krok iść za moim bohaterem, póki go nie wpakuję w złote jarzmo małżeńskie, wierny powołaniu historycznemu, muszę wyznać szczerą prawdę i powiedzieć, że pan Felix tyle dbał o wiosnę, co my wszyscy naprzykład w tej chwili dbamy o cesarza chińskiego i jego smutną faciatę naprzeciw zwycięzkiemu powstaniu.

Pan Felix zaczął przegrywać w karty; fortuna, jak zwykle kobieta, ukazała się zmienną; dawna wygrana poszła het tam, gdzie wszystko idzie i ginie, w przepaść potrzeb i zachceń żołądkowych, a nowe długi coraz więcej dokuczały bohaterowi naszemu.

O jakże mu się nudną wydała ta wiosna z swemi krótkiemi nocami, w których się nawet odegrać trudno, z tem, dla gracza najprzykszejszem szyderstwem, z zapachem co mu przez okno dolata, i spiewem jakichsiś głupich ptaszków, którzy urągają mu, gdy ten tylko co dwa razy na ośm lew wpadł, lub na przeciwnika siódme przejście w djabełku, ostatnią dziesiątkę uronił. A więc trzeba pomyśleć o przyszłości, trzeba nowych strun do zgranego instrumentu.

I jak na to nowa okoliczność podała mu środki do przeprowadzenia tych nowych zamiarów. Mówiłem już, że pan Felix za poradą pana Józefa rozpoczął ów sławny interes dostawy materjałów do żup i dróg. Ciągnęło się to jakoś dość długo, jak po grudzie wozem niesmarowanym, lecz gdy się jakoś gruda utarła a wóz *posmarował*, poszło zaraz gładziej i lepiej. Żądano tylko jeszcze dopełnienia małych formalności, i przedłożenia jakichś zaświadczeń. Nie ma nic łatwiejszego, jak wykazanie się dobremi zaświadczeniami w naszym czynnym wieku. Felunio więc przyłączył całą registraturą najsumienniejszych w świecie zaświadczeń, i extrakta tabularne czyste, i metryki urodzin akuratne, i mało co w zapale zaświadczeniowym nie wykazał się najsprawiedliwszą własną sepulturą, słowem pan Felix dopełnił wszystkich żądanych warunków jak najsumienniej.

Taka akuratność w przyłączeniu żądanych zaświadczeń nie została bez skutku, i skończyło się na sensie moralnym, który spadł niespodzianką na dóm pułkownikowi-

cza, i umysł jego mocniej od wiosny rozpalił, skończyło się na zaliczce wynoszącej 1000 złr. m. k.

Tysiąc ryńskich jest to laska czarodziejska zmieniająca nie jedną rzecz, nie jedno usposobienie. Pan Felix odżył i uczuł od razu cały urok wiosny; ptaszki zanuciły mu wdzięczniej, czarowniej zamruczały strumyki, woń wiosniana pachła mu cudowniej i nowe zamysły, jak pączki, zaczęły się rozpękać w głowie bohatera naszego. A w sercu jego było tyle romantyczności, ile jej tylko zdołało wywołać tysiąc ryńskich dawno już nieposiadanych w tak szanownym komplecie.

Trzeba puścić się w świat, szukać, znaleść i zdobyć bogate wiano posagowe, z dodatkiem wdzięków młodości i posłuszeństwa. Jest wiosna, jest życie nowe, krew w żyłach, zapał w oczach i na twarzy; tysiąc ryńskich w kieszeni, a więc i rozum w głowie i szczęście w zamysłach.

Tym razem sam się wybierał, bo Szpakowski wrócił do Lwowa; własnej więc musiał zaufać jenialności. I mógł zaprawdę, znać to po dumnem głowy podniesieniu. «Mogę!» wyrzekł uroczyście sam do siebie, i uderzył się z męską godnością w kieszeń.

Dwa pytania zachodziły nader ważne.

Gdzie i jak wyruszyć?

Długo się wahał (wszak historya uczy, że i nie zwykli ludzie wahali się w chwilach stanowczych) nad tem, *gdzie*? Po niejakim namyśle wybrał sobie jako drugie pole kompanii konkurentskiej: „*kąpiele*“, lecz jakie: czy w Truskawcu, Iwoniczu, Konopkowie czy Lubieniu? Nareszcie zdecydował się na Lubień, bo i bliżej stolicy, w której jak wiemy mieszkała siostra pana Felixa, pani Kopycińska, mogąca mu w razie potrzeby służyć za punkt strategiczny oparcia się w awansie czy w rejteradzie, i dalej nareszcie od strón rodzinnych, a więc mniejsze było niebezpieczeństwo, by jakie niekorzystne rozeszły się wieści, i sam nareszcie bezpieczniej mógł kłamać i cudne o sobie samym puszczać w obieg wieści.

Jak się wybrać? było drugie pytanie. Tu mu posłużyło doświadczenie raz przebyte. Przekonawszy się, że mu czwórka krakowska, Franek z konia i eligijny świniarczuk wcale nie pomogły na Węgrach, a tem mniej pomódz mogą w świecie większym, wybrał się tym razem nie z kiepska po mazursku, ale z *kiepska po niemiecku*. Ze starej bryczki na resorach przetworzył gatunek faetonu, w szory angielskie ubrał dwie szkapy nie angielskie wprawdzie, ale z angielskiemi ogonami i z angielska wyglądające, bo chude długonożne handrygi. Kuczera i lokaja, jak ów Piotr rosyjskich bojarów, ogolił i przebrał we fraki niebieskie, w czerwone kamizelki o herbowych guzikach, w białe pończochy z klamrami i kamasze dla odmiany.

Jednem słowem nasz jenialny bohatyr zastosował się zupełnie do mody.

O modo! ty najokrutniejszy, najstraszliwszy i najniemiłosierniejszy tyranie! Co ty już nabroiłeś i co broisz ciągle! by cię poznać, dość przebiegnąć żurnale jednego pokolenia i porównać w nich stroje matek i córek!

Modo zawzięta! dziś stroisz panny w puchowe reduty, mogące się oprzeć kulom armatnim, podczas gdy wczoraj mógł je lada wietrzyk unieść na balonowych przyborach; a jutro je obejmie twardy i zawiesisty, beczek godny obręcz. Włosom naszym każesz przechodzić z Tytusa w Mużyka, lub znowu w ogolonego prawie Mandaryna, i robisz z nas *frakowych niedołęgów*, na pośmiewisko świata, kiedyśmy nie dawno jeszcze w kontuszach wzbudzali uczucie podziwu!

O modo nieliościwa i bezsensowa! która mieszasz się nawet do tańców i ulotne gracje w konwencyonalne pakujesz więzy. Obyś była przepadła pierwej, niżeś poloneza poważnego wypędziła dla namiętnego walca, rzeźwego krakowiaka zastąpiła lubieżną polką, a skocznego mazura, tego króla tańców, usunęła na bok, by dać miejsce kadrylowi, wyprowadzając go z właściwego mu salonu, to jest *z rajtszuli*, wydzierając go właściwym danserom, to jest *koniom*, i plątaninę z prawej na lewą nogę śmiesz nazywać tańcem.

Modo przeklęta! ty zginiesz kiedyś jak Ugolino w wieży, śmiercią głodu, sama siebie zjesz!

Obrzydliwa modo! ty....ej dam lepiej pokój, bo i tak widzę, że połowa czytelniczek, która jeszcze nie zasnęła, najmocniej zadąsała się za definicye kadryla. Pisałbym wam wiele jeszcze o modzie, ale takim zły na mego najokrutniejszego wroga, że przez wzgląd na arcymiłe mi moje zdrowie dam lepiej pokój i wrócę do pana Felixa, który tymczasem przyjechał do Lubienia.

(C. d. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

Jarmark.

(Ciąg dalszy.)

Kasztanki były na oko niczego, ale że p. Alexy mówił iż go 1400 reńskich kosztują, i na to dawał słowo honoru, nie można się było targować. Przyznam się, że po zwierzeniu się poprzedniem nie bardzo mu ufałem; bo kto był zdolnym dla wsi i nawozu żenić się z cielęciem, ten nienajlepszą w mych oczach zjednał sobie opinię. Wymówiłem się zatem gładko, i umyśliłem poszukać jakiegoś znawcę, coby kasztanki ocenił.

— Żydzie zmiłuj się daj mi co jeść, zawołałem na przechodzącego faktora.

— Ny to niech wielmożny pan pójdzie do Fiszla. Tam wszyscy szlachty bywają, tam dostanie kiełbasek. Faktor zawiódł mnie do ciemnej izdebki, gdzie istotnie zastałem kilku mężczyzn zajadających kiełbaski i popijających wino. Kazałem i ja podać sobie tego nektaru, i czekałem aż kiełbaśnik się ułatwi, by i mnie tego speciału udzielił.

— Malicki (tak się zwał kiełbaśnik) aleś też soli nie żałował! zawołał jeden z goszczących.

— Proszę pana, bo to już takie mięso było, odrzekł naiwnie Malicki. Oczywiście, że domyśliwszy się, co to za mięso soli potrzebowało, już do kiełbasek straciłem ochotę, i kazawszy sobie podać szwajcarskiego sera z bułką żydowską, przypatrywałem się pijącej i głośno gwarzącej kompanii.

Kilku szlachty siedziało koło okrągłego stołu zastawionego butelkami. Stary gospodarz z dużą siwą brodą w pantoflach chodzący często mięszał się do rozmowy biesiadników; częstował ich czasem tabaką, za co oni nawzajem suto go tytułem pana częstowali.

Żyd ten dziś panem nazwany, zaczął swój zawód od trzymania na wsi krów w pachcie, potem posunął się na propinatorstwo; a dziś mimo tego, że półtora tuzina dzieci wyposażył, miał się zawsze dobrze, i choć blisko ośmdziesiąt lat liczył, zachował całą przytomność umysłu, i niezapomniał o szacherstwach jakiemi zrobił majątek! Kilkadziesiąt sztuk synów, córek, wnucząt i prawnucząt, z którychby można małą kolonię założyć, służyło pod jego rozkazami, on doradzał im w handlu, uczył i dopomagał w oszustwie; dawał na lichwę pieniądze, które wierni potomkowie jeszcze na większą lichwę pożyczali; słowem stary Grosman był dla nich wyrocznią, co go też w taką wbijało ambicją, że nadto poufałym był ze szlachtą, a ci przez wzgląd na wiek jego i liczną familię, z którą handlowali i jej potrzebowali, znosili cierpliwie jego poufałości, które czasem i za granicę sięgały. Byli jednak tacy, co niezepsuci postępem, w każdym żydzie widzieli tylko potrzebne do handlu narzędzie, i nigdy nie chcieli uwierzyć, aby naród nie mający swojej ojczyzny, i tylko według zasady *ubi bene ibi patria* żyjący, godzien był szacunku i poważania. Czuli oni, że przypuszczając ten naród do poufałości, ubliża się godności swojej. Takich to Grosman nie lubił, ale że ich się obawiał, przeto był dla nich z wszelką grzecznością i uszanowaniem. Do takich to należał pan Paweł, który właśnie wszedł do tej izby żydowskiej. Na widok jego Grosman zdjął berlitkę i podał mu krzesło, które chustką od nosa z kurzu otrzepał.

— Radzi lepiej (było to ulubione przysłowie p. Pawła), coś widzę sąsiedzi nie próżnują! Ty stary żydzie dajno i mnie wina, ale tego co to wiesz, bo jak będzie inne, wierz mi jak Bogu wierzysz, że cię z twemi patynkami razem za drzwi wyrzucę!

Przysłowie *in vino veritas* zastosowane zapewne do narodu polskiego; bo też kto chce szlachtę naszą poznać, niech jej się wtedy przypatrzy, kiedy to w wolnej od trosków chwili zejdzie się w dobranem towarzystwie i kiedy trochę podchmieliwszy zrzuci z siebie wszelki przymus i przesadę. Ileż wtedy w tej szlachcie dobrych stron dopatrzysz, jakie koleżeństwo, jaka pamięć o przeszłości i dziejach ojczystych, ile dowcipu, a jakie to serca!

Dawniej, gdy były otwarte domy obywatelskie, kiedy każdy chrzest, urodziny lub imieniny, każde wesele huczno odbywano, kiedy w zapusty kuligi z domu do domu przejeżdżały, albo też częste baliki dawano, niebrakło szlachcie na sposobności zabawienia się i za pomocą wiwatów wylania serc i uczuć swoich. Dzisiaj, kiedy każdy dom swój z umysłu, albo też z potrzeby zamknął; kiedy jakaś uroczystość familijna, lub solenizacja kończy się na wypiciu małego kieliszka wina, albo też szklanki herbaty, co słomianym kolorem przypomina wprawdzie wino, ale umysłu nierozweseli. Dziś mówię tedy takie pohulanki szlacheckie tylko gdzieś na jarmarku lub w mieście zobaczysz, bo tu bez ceremonii, bez żadnej żenady za własne pieniądze każdy sobie rad, każdy sokie brat, a choć czasem szlachta sobie podchmieli, nie jej w tem wina, nie nałóg to, ale szlachecka buta i polska gościnność. Bo jakże przenieść na sobie, żeby wypiwszy od kogoś lampeczkę, nawzajem nią go niepoczęstować, a czem liczniejsze towarzystwo, tem więcej takich lampeczek, aż też i lampeczki czasem pójdą do głowy.

Za granicą albo też i u nas goście zagraniczni tego zwyczaju raczenia się nie znają; każdy pije swoją halbę osobno, a jeśli się upije, to wie przynajmniej, że się upił sam i za swoje pieniądze. U nas to jakoś nie idzie, lecz cóż robić, co kraj to obyczaj!

Pan Paweł był duszą podobnych schadzek. Prawdziwa też to, że się tak wyrażę, była w nim rasa polskiego szlachcica, humor zawsze u niego wyborny, nieoszacowany. Choć liczył kilka dziesiątek lat, zawsze zdrów, czerstwy i swobodny, a choć czasem mówiąc między nami pałkę zalał, nigdy brudu lub burdy nie zrobił; z łysiny się tylko zakurzyło, a powtarzając ulubione przysłowia: *Radzi lepiej, wierz mnie jak Bogu wierzysz*, niuchał tabakę i opowiadał różne dykteryjki, których mu nigdy nie brakło.

(D. n.)

Rozmaitość.

Z Krakowa. Wpomnienie pośmiertne: *Michałowski Piotr, Rzesiński Jan Kanty Hieronim Stefan. — Anczyc Zygmunt.*

(Ciąg dalszy)

Wiersze te, uważalibyśmy dzisiaj za utwory nieco ciężkie, foremnie bardzo wykrojone, symetrycznie i harmonijnie powiązane, połyskujące barwą oględnego entuzyazmu, ale ówczas uzyskały rozgłos nie mały, bo energia wysłowienia i gorący zapał, wrzące w piersi poety, wyrzucały myśl jego po za szranki, w jakich ówczas więziono poezyą.

Prace te poetyczne dorównywały wszystkim celniejszym owoczesnym wierszowaniom tak zwanych później klasyków, a pięknością formy i myśli (n. p. w Odzie na ruiny zamku Tenczyńskiego.) zdradzały talent niezwyczajny. Lubił on poezyą do ostatnich lat życia swojego, uprawiał ją ciągle, choć już później nic nie drukował.

Poezya była jego wytchnieniem, a zaś głównem zajęciem filo-

zofia i prawo, i tym to umiejętnościom szczupłą liczbę godzin wolnych od obowiązków obrończych i profesorskich, niezmordowanie poświęcał. Prace jego wychodziły różnemi czasy i dość obficie, ale nierównie więcej pozostawił dzieł w rękopiśmie, których ogłoszenia drukiem jak najprędszego życzyćby sobie należało.

Wydał on: *Gibbona*, Rys historyczny prawa Rzymskiego, przekład z Angielskiego, powiększony uwagami *G. Hugona*, 1830. Kraków w 8ce. str. 132. *Tenemanna*, Rys historyi filozofii według przerobienia *A. Wendla*, T. I. obejmujący historyą filozofii starożytnej i wieków średnich, w 8ce. Kraków 1836. str. 314. Jestto jedyne dzieło tego rodzaju w naszym języku, recenzyą jego kreśli *Pamiętnik Nauk. Krak.* 1837 I. *W kwartalniku Naukowym* r. 1836. Tom III. str. 192—223. umieszcza rozprawę: Charakterystyka najnowszej filozofii, w drugiej rozprawie tamże zostawia cztery teksta: Pieśni Boga Rodzicy. W r. 1838 drukuje: *Gansa Edw.* Scholie do Gaja, przekład bardzo znakomity. Kraków w 8ce. str. 338. Dalej wydaje i uczoną rozprawę wyjaśnienia: Proces cywilny Krakowski przez Rajców w r. 1544. za panowania Zygm. I. napisany, wydany z rękopismu. Kraków 1840. Druk Czecha. *W dwutygodniku Krakowskim,* zamieszcza rozprawę: O prawie załogi w Polsce. (1844. NN. 4. 5. 6.) Nakoniec drukuje: Trzy kodeksa francuzkie: cywilny, postępowania sądowego i handlowy, w przekładzie poprawnym. Kraków 1845. w 16ce str. 652.

Zaletę przekładów Rzesińskiego stanowi to, iż nie tylko starał się o zachowanie czystości języka, ale nadto opracowywał przedmiot, uzupełniając przekład własnemi spostrzeżeniami, oświetlając go wszechstronnie ze stanowiska z jakiego on zapatrywał się na tę umiejętność. Sumienne studya naukowe przez całe życie, były rękojmią, iż dzieło uzupełniane przez takiego męża, zyskiwało zawsze w dwójnasób na swej wartości wewnętrznej. Oby jak najprędzej jaki nakładca zechciał wydrzeć z zapomnienia, te prace uczonego prawnika, które nagromadził w rękopismach!. W dniu 27. b. m. licznie zebrani przyjaciele, znajomi i uczniowie, odprowadzili zmarłego na cmentarz, a nad grobem przemówił znany z wymowy swojej Rektor Pijarów X. Adam Jakubowski i wystawił zasługi Jana Rzesińskiego.

(D. n.)

* Jakkolwiek cholera nie jest u nas mocna, nie zawadzi wszakże podać do wiadomości niektóre z nowo wynalezionych lub też za skuteczne uznanych środków. W Dodatku do Czasu Nr. 152 wyczytujemy inserat donoszący o sposobie nowym używanym bardzo skutecznie przez p. Januarego Strzeszkiewicza, który wychodzi z tej zasady: że kwasy tak w żołądku jak i w krwi są przyczyną kurczów, a więc kwasy te należy jak najspiesznej neutralizować wewnętrznie. Radzi na to 1. Maczać koszulę, i w ogóle suknie przystające do ciała, w wodzie wapiennej z apteki, wyciśnięte ubrać na się, i wdziać na to suknie ciasno przystające. Kto może, niech nawet bierze kąpiele z wapiennej wody, która się robi tak: że do 100 garncy wody daje się 20 funtów niegaszonego wapna, i przez grube płótno przecedza. Kąpiel ta ma być gorąca dla chorych czujących w sobie zimno, zimna zaś dla mocno rozpalonych. 2. Równocześnie i jak najspiesznej trzeba dawać choremu pić wodę wapienną z apteki, co 10, a nawet co 5 minut po jednej albo i dwie łyżek stołowych; można dodać do tej wody n. p. na pół kwarty, ½ łuta salepu, lub 1 łut gumy arabskiej.

Czyli i o ile środek ten jest dobry i zbawienny, tem trudniej jest powiedzieć z pewnością, im więcej nauczyło już nas doświadczenie, że żadna słabość tyle co cholera nie wywołała środków najrozmaitszych. Każdy niemal lekarz i nielekarz, ma swoje nowe lekarstwo, które komuś i kiedyś pomagało. To pewna że niema dotąd na cholerę żadnego ogólnego uznanego lekarstwa. O lepszości jednego lekarstwa nad drugie sądzić tylko możemy, po fakcie skutków. Owoż gdy o tem mowa wszędzie, i myśl tem zaprzątniona, przytoczemy tu fakt medyczny, którego wiadomość zawdzięczamy jednemu młodemu człowiekowi, który sam o tyle z nim jest obznajomiony, że nieraz podobne z korzyścią robił doświadczenia. Faktem tym, o którym z resztą łatwo się przekonać, że w wielu bardzo miejscach najskuteczniejszą okazała się kuracya homeopatyczna. Wedle urzędowego sprawozdania Dra. Buchnera z 1557 ludzi cholerą dotkniętych, wyzdrowiało leczonych homeopatycznie 1464 osób, umarło zaś 93, a zatem 6 na 100 osób. Dr. Hatze zapewnia że zdolniejszym lekarzom homeopatycznym na 106 słabych, nieumiera zazwyczaj tylko jeden. W r. 1848 gdy się cholera pokazała w Potsdamie, Albert Szulc były assystent kliniki w Köthen, na 68 ludzi zapadłych na cholerę, wyleczył homeopatycznie 59; a zatem 9 zmarło, pomiędzy któremi było dwóch od dawna chorych starców, i kilkoro słabowitych i szkrofulicznych dzieci.

* We środę młodzież wojskowego zakładu wychowania wyprawiała sobie huczną i stósowną do wieku swych członków zabawę w ogrodzie Kisielki, używszy na to daru jaki dłań przeznaczył Najjaśniejszy Pan w czasie swego pobytu we Lwowie. Mianowicie zajęli stawek zapełniony przez cały czas czółnami, któremi uwiali głośno i wesoło.

* Dla prenumeracyjnych Nowiny z rycinami przyłączają się do tego numeru rycina mód i wzór kanwowy.

* Temi dniami umarł w naszem mieście znany z swej prawości, i powszechnie lubiony, sekretarz stanów galicyjskich Jan Nep. Bojarski. Na pogrzebie, który był liczny, przy grobie zmarłego towarzystwo muzyczne w całym komplecie odśpiewało żałobną kantatę, utworu p. Dundera, urz. izb. obr. i pod jegoż dyrekcyją.

Przyjechali od dnia 6. do 10. Lipca do Lwowa.

PP. Madejski Maryan, z Żółkwi. Zatorski Tadeusz, z Załuża. Wiktor Jakób, z Buska. Padlewski Aleksander, z Dołhego. Pietrzycki Feliks, ze Stanisławowa.

PP. Baworowski Józef hr. z Pesztu. Rodakowski Leon, z Koszyc. Gottlieb Antoni, z Dołhomościsk. Golejewski Adam hr. z Hryniowic.

Wyjechali od dnia 9. do 10. Lipca ze Lwowa.

PP. Łączyński Józef hr. do Liska. Jaroszewski Stanisław, do Ubienia. Badeni Aleksander hr. do Tarnopola. Pietruski Teofil, do Stryja

PP. Uleniecki Wincenty, do Wolicy. Winnicki Hipolit, do Hnilczego. Thullie Stanisław, do Drohobycza. Rodkiewicz Stanisław, do Gajów. Marmarósz Józef, do Kamionki.

Kurs telegrafowany z Wiednia 11. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr.	123⅞	Pożyczka 5% — —	78⅝
Hamburg za 100 tal. banco	90⅝	Akcye banku	987
Londyn za 1 funt szterl.	12 57	Kolej północna	2080
Medyolan za 300 lirów	122⅝	Obl. ind.	68
Paryż za 300 franków	143½	Nowa pożyczka z loterya	100 9/16
Agio duk. ces.	28	Pożyczka narodowa	83¼

Kurs Lwowski Wczorajszy

	Gotówką zł.	kr.	towarem zł.	kr.
Dukat holenderski	5	42	5	45
Dukat cesarski	5	45	5	48
Półimperyał zł. rosyjski	9	50	9	53
Rubel srebrny rosyjski	1	55	1	56
Talar pruski	1	49	1	51
Polski kurant i pięciozłotówka	1	23	1	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	93	20	93	45
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	—	70	30
5 proc. pożyczka narodowa	83	15	84	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**